

Barn+Field, czyli podlaski Woodstock. Biada tym, w których rośnie stadion [GOWORSKY]

Marta Panas-Goworska Andrzej Goworski

20-26 minut



Fot. Andrzej Goworsk...

24 sierpnia 2025

W Warszawie rosyjskie słowa Korża stały się iskrą zapalną, a w Studziwodach mieszanka białoruskiego, polskiego, angielskiego, a zwłaszcza podlaskiego łączyła publiczność. Barn+Field Festival to to manifest nowej tożsamości, kontrpunkt dla stadionowości

9 sierpnia z naszego okna na warszawskim Grochowie widzielibyśmy czerwone dymy nad Stadionem Narodowym.

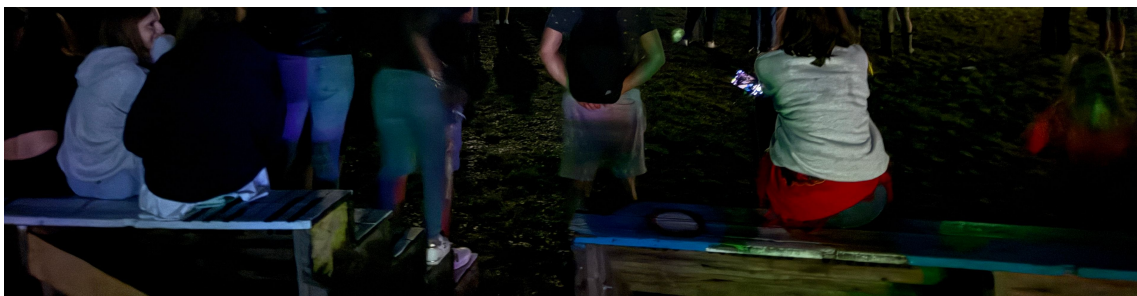
Tamtego wieczoru białoruski raper Maks Korż zgromadził tłumy. Sytuacja szybko wymknęła się spod kontroli, gdy fani – wśród nich wielu Ukraińców i Białorusinów – wybiegli na płytę stadionu. Interweniowała policja, doszło do starć ze służbami, wiele osób zatrzymano. Później premier ogłosił deportacje 63 osób – uczestników zająć. Posypały się polityczne oskarżenia. Media tworzyły gorączkowe analizy emigrantów z Europy Wschodniej i ich kultury jako pola walki lub wręcz – przestrzeni permanentnej wojny. I tak wydarzenie dla kilkudziesięciu tysięcy poruszyło miliony.

Ale my byliśmy wtedy gdzie indziej. 200 km na wschód, w Bielsku Podlaskim, a dokładniej w jego części zwanej Studziwodami i drugi dzień z rzędu tańczyliśmy na Barn+Field Festival.

To wydarzenie z Podlasia koresponduje z koncertem Korża. Tu też brzmiały utwory w językach wschodnich Słowian, a kulturowa nadbudowa czerpała z pogranicza polskiego, białoruskiego i ukraińskiego.

Tyle że zamiast betonowego kolosa – stodoła, zamiast burd – „podlaski bounce”, a zamiast flagi, którą interpretowano politycznie – ikona św. Mikołaja i murale głoszące wolność i różnorodność.





Fot. Andrzej Goworski

Najważniejszy okazał się jednak język. Gdy w Warszawie rosyjskie słowa Korża stały się iskrą zapalną, w Studziwodach mieszkanka białoruskiego, polskiego, angielskiego, a zwłaszcza podlaskiego (mikro)języka, łączyła publiczność. I mimo że nad Wisłą artysta także śpiewał o wspólnocie, zagubił się kontekst migracji i piątej rocznicy sfałszowanych białoruskich wyborów, zniknęła muzyka, pojawiła się za to wiadoma flaga, o której mówiono wszędzie.

„Zaskoczenie popularnością Korża pokazuje, jak gruba jest kulturalna żelazna kurtyna dzieląca Polskę od Europy Wschodniej” – [podsumowała Paulina Siegień](#), autorka publikująca m.in. w „Krytyce Politycznej”, a jednocześnie mieszkanka Podlasia.

Nieoczekiwanie owa kurtyna uniosła się nieco i wielu doświadczyło kontaktu ze światem całkowicie obcym. Można powiedzieć: spotkania z sierotami po ZSRR. Mimo że te sieroty w większości urodziły się już w krajach, które wyłoniły się po rozpadzie Związku Radzieckiego. Ludzie ci zarówno na Ukrainie, jak i Białorusi organizują się w ponadnarodowe społeczności, połączone wspólnymi wartościami. Jedną z takich grup są „pacany”, czyli osoby (mężczyźni i kobiety), które czasami przyrównuje się do naszych dresiarzy, blockersów czy kiboli. „Pacany” są głębszym zjawiskiem, poza tym nie ta skala, nie ten rozmach. W końcu ZSRR był imperium. I właśnie do nich odwoływał się Korż, śpiewając po

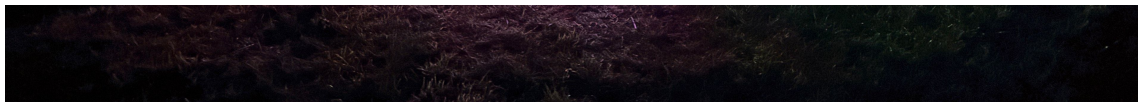
rosyjsku – bo „pacany” go rozumieją.

Tymczasem na Podlasiu na Barn+Field Festival nie było jednego dużego symbolu. Za to przenikały się trzy warstwy językowe: białoruski jako kod właściwy dla wykonawców zza granicy, służący nieoficjalnej komunikacji i transgranicznym kontaktom, polski jako neutralny łącznik między wszystkimi uczestnikami, scalający różne grupy oraz podlaski (mikro)język – miejscowa mieszanka gwarowa, pełniąca funkcję geolokalizatora tożsamości, wyrażającego hybrydowość regionu.

Pojawiał się też angielski i ukraiński, ale rzadziej. Więc gdy światła wirowały, a my tańczyliśmy przed sceną, żadna formacja, żaden sentymentalizm nas nie kusił. Korż był wyrazicielem nostalgii, lecz jego przekaz utonął w politycznej burzy. Wykonawcy podczas Barn+Field postawili na siłę drobnych gestów, ale i coś, co było nowe, nieco rewolucyjne, choć w tym dobrym, kontrkulturowym znaczeniu.

I w ten sposób budowano w Studziwodach przez dwa sierpniowe dni wspólnotę odporną na uproszczenia.





Fot. Andrzej Goworski

Oprócz muzyków z Polski i Białorusi pojawili się też młodzi muzycy z Irlandii – zespół Reserved4Rehab. Jak sami mówią, gdy usłyszeli o festiwalu organizowanym w rodzinnym regionie gitarzysty, Mikołaja Muski, nie mogli nie przyjechać: „Nie mieliśmy pojęcia, czego się spodziewać. Mikołaj był na pierwszej [w 2024 r., kameralnej] edycji i słyszeliśmy wiele dobrego, ale mówiono nam też, że w tym roku ma być większy i bardziej profesjonalny”. Cieszyli się na myśl, że mogą zagrać „w miejscu, gdzie niewielu Irlandczyków występowało, jeśli w ogóle”. I kiedy już dotarli, byli oszołomieni. „Jest coś niesamowitego w przeniesieniu nowoczesnej sceny festiwalowej do tak pięknie zachowanego, tradycyjnego miejsca” – napisali nam w mailu – „Organizatorzy i społeczność stworzyli tu coś unikalnego i inspirującego”.

Dla muzyków było to spotkanie z przestrzenią, w której przeszłość i współczesność łączą się na równych prawach, i z której trudno wyjechać bez myśli o własnych korzeniach. „Pochodzimy z Irlandii, kraju o swojej własnej, wyjątkowej historii i wielokulturowości, a sami w zespole też jesteśmy wymieszani – przekonują. „Nasze piosenki nie są może oczywiste w odbiorze” – dodają – „ale wiele z nich dotyczy kwestii przynależności, doświadczeń ludzi w świecie, w którym historia i wielokulturowość raz są powodem do świętowania, a raz używa się ich przeciwko tobie”.

Zdecydowali więc, że wejdą na scenę z flagami – irlandzką i biało-czerwoną, w pionowe pasy, flagą Cork [hrabstwo w Irlandii]. W Irlandii podczas koncertów nie robią tego, ale w

Polsce chcieli tak „uczcić połączenie [ich] kultury z Podlasiem”. Irlandczycy muzycy zapewniają, że będą „wracać do rozmów i doświadczeń z tą [tj. festiwalową] społecznością i [refleksje] zawrą „w jednej czy dwóch nowych piosenkach”.

Inaczej niż w Warszawie. I choć skala wydarzenia i symbolika absolutnie odmienne, to flag użyto tu by łączyć, nie dzielić czy prowokować.



Fot. Andrzej Goworski

Zarówno za pierwszą, jak i tegoroczną edycją festiwalu, stoi trzech dwudziestolatków z Bielska Podlaskiego, Eliasza Fionik, Tymoteusz Pawlik i Szymon Wąż. Mieli wolną rękę, wykazali się wyjątkową inicjatywą, ale nic nie udałooby się, gdyby nie ojciec jednego z nich, człowiek, który przez cztery dekady konsekwentnie pielęgnuje i propaguje lokalne dziedzictwo – Doroteusz Fionik. Ten etnograf, historyk, chórmistrz, pedagog i strażnik białoruskiej kultury Podlasia.

W 1986 roku odziedziczył po wuju drewniany dom w Studziwodach. To tam narodził się pomysł stworzenia muzeum, które nie będzie magazynem eksponatów, lecz żywym miejscem spotkań, śpiewów, warsztatów i rozmów. Oficjalnie powstało w 1993 roku jako prywatna inicjatywa – Muzeum Małej Ojczyzny.

Od początku jego istotą była ciągłość – między codziennością a świętem, między domem a przestrzenią wspólną. Dziś w skład muzeum wchodzi kilka historycznych budynków przeniesionych m.in. z centrum Bielska, pracownia tkacka, izby pełne drewnianych sprzętów, a także teren plenerów artystycznych i koncertów. To tu przez lata odbywały się spotkania żniwne „Oleń po boru chodit” czy rekonstrukcje tradycyjnych wesel. Działa również największe w okolicy wydawnictwo, publikujące książki i czasopisma o historii i kulturze Podlasia. Więksi gracze są tylko w Białymstoku.

Fionik szczególnie ceni podlaską mowę i wiele książek, także dla dzieci ukazuje się w podwójnym zapisie – polsko-tutejszym. „Język podlaski czy też język podlaskich Białorusinów rozpoczął swe nowe życie – twierdzi, ale wie, że „nie będzie językiem masowym, a raczej elitarnym. Nie będzie językiem głównie wsi, jak dotychczas, a ludzi chcących w nim rozmawiać, świadomym jego wartości, także z dużych miast”. I to jest podstawa dla przetrwania tego kodu, „aby rodzice z dziećmi w nim rozmawiali na co dzień”. Fionik rozumie, że dla „dzieci atrakcyjna może być komunikacja w tym języku poprzez pieśń, zarówno tradycyjną, ale też przetworzoną, taką, jaką robi Nika Jurczuk [Niczos – red.]...”. Zapamiętajmy to, bo to jeden z filarów festiwalu.

Tę samą logikę Fionik stosuje wobec całej tradycji – nie zamyka jej w gablotach, tylko włącza w obieg: na Barn+Field pieśń paraliturgiczna otworzyła festiwal, a wieczorem jej echo brzmiało w elektronicznym remiksie. Fionik nie ukrywa, że dla niego festiwal jest również formą sprzeciwu wobec niszczenia lokalnego dziedzictwa i przypomina swoje zmagania o ochronę kurhanów i stanowisk archeologicznych podczas budowy obwodnicy. „Ubiegłoroczny festiwal stał się dla mnie swego rodzaju »protest songiem« w obliczu niszczenia dziedzictwa i nieliczenia się z głosem miejscowych ludzi (bo ma się specustawę drogową)”.

Drogowcy nie posłuchali społeczności Studziwód i dziś, na obrzeżach festiwalowego pola, ledwie 150 metrów od jego granicy, na ważnych archeologicznie stanowiskach wybudowano obwodnicę krajowej 19. Na dniach ruszą tędy samochody.

Niewątpliwie największą gwiazdą Barn+Field Festival był duet Sw@da x Niczos. Dla Niki Jurczuk był to powrót do korzeni: „Od 12 roku życia stąd jest moje muzyczne tworzenie. Jestem stąd, więc czuję, że to jest moje miejsce. Chcę pokazywać Podlasie i czerpać z niego – tu jest mnóstwo nieodkrytych pieśni” – powiedziała nam.





Nika Jurczuk na festiwalu. Fot. Andrzej Goworski

Podkreślała również osobisty związek z regionem, wspomniała dziadków mówiących „po swojemu”, choć – dodaje – języka nie przekazali młodszemu pokoleniu. Jej droga rozpoczęła się w Fionikowym Studiu Folkloru Podlaskich Białorusinów „Żemerwa”, gdzie uczyła się tradycyjnego śpiewu. Później, po wyjeździe na studia, dołączyła do folkowego zespołu Hajda Banda, by wreszcie spotkać Wiktora Szczygła (Sw@da). Jak relacjonowała: „Poznałam [go] przez wspólną znajomą. Potrzebował wokalu do projektów. Tak się połączyliśmy”.

Koncert w Studziwodach ujawnił siłę ich współpracy: surowe pieśni przeplatały się z hip-hopowymi bitami, a teksty w języku Podlasia, czy jak chce Fionik – Podlasza, stały się uniwersalnym impulsem do tańca. Dla publiczności kluczowe było połączenie autentyczności z nowoczesnością – tradycyjny białoruski śpiew Niczos zderzał się z kolumbijsko-południowoafrykańskimi rytmem Sw@dy, tworząc „podlaski bounce”.

Fenomen Sw@dy x Niczos wykracza jednak poza etnograficzną rekonstrukcję. To projekt, który przekształcił lokalny dialekt w międzynarodowe dziedzictwo, czego dowodem był ich album „#InDaWoods” (2024). Jak pisali Dawid Drózdź i Jędrzej Słodkowski w „Gazecie Wyborczej”, duet narodził się pięć lat temu na Konkursie Muzyki Folkowej

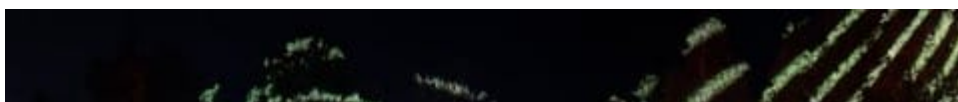
„Nowa Tradycja”, gdy Sw@da poszukiwał „tradycyjnego białego śpiewu” dla swoich elektronicznych eksperymentów. W Niczos znalazł nie tylko głos, lecz współtwórcę nowej muzycznej tożsamości.

Utwór „Lusterka” stał się tego manifestem – i zarazem iskrą zapalną narodowej debaty. Gdy piosenka zakwalifikowała się do eurowizyjnych preselekcji, część komentatorów oskarżyła ich o „ukrainizację Polski” lub wręcz „rosyjskie konotacje”. Wiele nie mieściło się w głowie, że polscy przedstawiciele mogą śpiewać „po rusku”.

Nawet czytelnicy postępowych mediów, którzy pogodzili się z istnieniem śląskiego czy kaszubskiego, nie mieli zrozumienia dla podlaskiego.

Tymczasem ten właśnie kod, jak wyjaśniał dziennikarz i propagator kultury białoruskiej, Jan Maksymiuk, jest „mową, gdzie nie ma przymusu narodowościowego”. Powtórzmy za Maksymiukiem: „Mówią nim i Ukraińcy, i Białorusini, i Polacy”.

Zatem fenomen duetu Sw@da x Niczos polega na przekraczaniu granic: ich muzyka jest jednocześnie zakorzeniona i uniwersalna. Jak mówi Niczos: „Kultura tradycyjna to ogromne bogactwo. Należy jej używać i nie zamykać się na łączenie folku ze współczesnością”. Wbrew głosom krytyki (np. zarzutom o „komputerowe przeróbki”) ich sztuka stała się też aktem ekumenicznym – udowadnia, że lokalność może być żywa, otwarta i... niepokorna. A przy tym może pierwszy raz artystom z Podlasia udało się uwolnić od cieni Zenka Martyniuka i nie przesiadywać „U Pana Boga za piecem”.





Fot. Andrzej Goworski

Dwudniowy festiwal żył własnym rytmem. Pole namiotowe, za sceną traktor z jarzącym się na czerwono kołem, nie rekwizyt, a prowizoryczna latarnia – widoczny z daleka ciągnik Biełaruś. Przy wejściu wolontariusze w jednakowych koszulkach, stoisko z jedzeniem, drugie z piwem, toalety polowe, w tym jedna większa, dostosowana do potrzeb osób na wózkach. „Wszystko dopracowane i przemyślane. Tylko się bawić i słuchać muzyki” – mówi jeden z gości, na marginesie, nasz znajomy z tutejszego liceum.



Fot. Andrzej Goworski

W tłumie można było też wypatrzeć Wojtkę Fiedorczuka, znanego stand-upera i jednego z prowadzących TVN-owskie „Szkło kontaktowe”. Zapytaliśmy go o mocne strony Barn+Field. „Familijna atmosfera, bezpieczeństwo, swojskość i piękna muzyka” – odpowiedział i zauważył, że podczas kolejnej edycji „można by jednak pomyśleć o zaproszeniu znanych headlinerów, by przyciągnąć większą publiczność”. Faktycznie Sw@da x Niczos zdecydowanie wyróżniali się na tle pozostałych, dużo mniej znanych wykonawców.

Ale to wiąże się z zagrożeniami. Bo „trzeba uważać, by nie zatracić kameralnego charakteru” – dodaje Fiedorczuk, który na co dzień jest warszawiakiem, ale pochodzenia to bielszczanin i dziś bodaj jeden z najbardziej znanych i rozpoznawalnych w kraju mieszkańców Bielska.

Pytamy go więc, jak postrzega Podlasie, które dla festiwalu jest czymś daleko więcej niż tylko materialną przestrzenią. Odpowiada, że teraz doświadcza regionu „świadomie, eksploracyjnie”. To nie ten sam świat, w którym żył 30 lat temu, teraz „nakładają się warstwy, odmieniamy się europejsko, »funduszowo«, co gdzieś tam sprawia wrażenie unifikacji, ale gdy ruszymy gdzieś poza główny trakt, to od razu czujemy, że to Podlasie”. I to właśnie Fiedorczuka przyciąga. Jest też przekonany, że nie trzeba być stąd, żeby rozumieć ten festiwal i w nim uczestniczyć. „Jest to uniwersalna siła, która moim zdaniem może wciągnąć każdego”.

I nie była to „kilkusetosobówka”, jak chcieliby malkontenci. W piątek 8 sierpnia wydano 700 opasek, a w dwa dni łącznie ok. 900 – podają organizatorzy. Dodajmy – my weszliśmy bez

opasek i tak postąpiły dziesiątki, jak nie setki osób z sąsiedztwa, więc do tej liczby należałoby dodać jeszcze z dwieście albo trzysta. Spośród gości z zagranicy było 12 Irlandczyków z zespołów Trainwreck i Reserved4Rehab, przyjechali też Litwini i Białorusini i jak podają organizatorzy, stanowili ok. 6 proc. uczestników.

„W ubiegłym roku w peaku było 400 osób, teraz widać efekt kilkuletniej pracy nad »kształceniem« gustu” – podkreśla Eliaś Fionik, jeden z organizatorów. „To dopiero druga edycja, a mamy ludzi z drugiego końca Europy”.

Pytamy go o środki. Większość z publicznych pieniędzy – 35 tys. zł z Budżetu Obywatelskiego Bielska Podlaskiego, 2,5 tys. zł od starostwa, 7 tys. zł z województwa, 3,8 tys. zł z crowdfundingu. Reszta to wsparcie lokalnych biznesów – restauracji, hoteli, firm usługowych. „To zdrowa wymiana: my dajemy promocję i ruch turystyczny, oni realnie pomagają” – dodaje Eliaś.

Organizacyjny trzon stanowiło ok. 25 wolontariuszy i 15 osób od techniki. „To nasza mała, duża rodzina” – tłumaczy Eliaś. „Poznani na innych festiwalach, przyjaciele, partnerzy. Szkolenia BHP, gadżety festiwalowe, opieka sanitarna – o każdego staramy się zadbać”.

„Frekwencja pokazała, że każda grupa wiekowa, narodowościowa czy subkultura znalazła tu swoje miejsce” – twierdzi brat Eliasza, Maksim. Nawet w politycznie podzielonym Podlasiu, gdzie Dubicze głosują na Mentzena, Boćki na Nawrockiego, a Bielsk na Trzaskowskiego, na festiwalu „nie czuć podziałów”.

Czy są religijne i kulturowe inspiracje? – dopytujemy.

„Sacrum i profanum mocno się tu przecina” – przyznaje

Maksim. „Po setach DJ-ów moi znajomi jechali na Grabarkę przygotowywać święto Spotkania Pańskiego”. Eliasz jest przekonany, że z pieśni tradycyjnych można czerpać, jeśli robi się to z pokorą i konsultuje z mistrzami, i podaje przykład duetu Sw@da+Niczos.

Maksim: „Mnie napędza i duma, i rozpacz. Kocham to miejsce, ale widzę, jak się wyludnia i jak znika język. To prowokuje do działania”.



Fot. Andrzej Goworski

Sukces Barn+Field! to w perspektywie wieloletniej stagnacji kulturalnej Bielska krok milowy. Nie powinno to jednak przysłaniać szerszego kontekstu. Podobnie jak koncert Korża na Stadionie Narodowym, tak i Barn+Field Festival wyrastał z głębszych procesów, które wykraczały daleko poza samą imprezę. Spór między polskością a białoruskością, prawosławiem a katolicyzmem nie budzi już dawnych emocji, a przynajmniej młodzi nie chcą już okładać się

pięściami za cerkiewne dzwony czy pomniki JPil.

Ale z tego samego miejsca widać też rzeczy mniej optymistyczne. Od lat 90. Bielsk w kulturze rozwijał się głównie dzięki inicjatywom oddolnym. Był Fionik, był zespół ZNBB (Zdrowie na Budowie Band), byli lokalni miłośnicy kina organizujący plenery i seanse. Miasto i gmina wspierały te działania symbolicznie. Brakowało strategii, która wykorzystałaby potencjał regionu. Młodzi wyjeżdżali, bo tu brakowało oferty, która zatrzymałaby ich choćby na chwilę.

To dziwi, tym bardziej że – jak pokazują badania – Podlasie ma najwyższe w Polsce oszczędności w bankach. Tzw. finansowy kapitał stały jest wysoki, ale inwestycji w kulturę praktycznie nie ma. Gdy już samorząd coś finansuje, to raczej patriotyczny mural niż miejsce spotkań czy festiwal.

Na tym nie koniec. Kilka kilometrów od Bielska leży gmina Dubicze Cerkiewne – jedna z najszybciej wyludniających się w Polsce. W ciągu 20 lat straciła 30 proc. mieszkańców. Bielsk, choć jeszcze rozwija się gospodarczo, także notuje odpływ ludności. Kiedyś przy dworcu podróżnych witało graffiti „Miasto sexu i biznesu”. Włodarze kazali je zamalować, nie wiedząc, że będzie to ilustracją kryzysu demograficznego. Wsie wokół pustoszeją, a wraz z ludźmi znika dawna tożsamość.

Zmienia się też struktura narodowościowa. Ostatnio w Bielsku pojawili się Nepalczycy – wykonują prace, których nie chcą podejmować ani miejscowi, ani Ukraińcy. Na ulicy, gdzie mieszka nasza mama, jest ich kilkudziesięciu. W niedzielne południe, gdy biją dzwony pobliskiej cerkwi, oni śpiewają swoje pieśni. Ktoś mógłby powiedzieć – nowa odsłona wielokulturowego Podlasia. Fiedorczuk, z którym

dłużej porozmawialiśmy także i o tym, uważa, że ich potencjalny udział w kolejnych edycjach festiwalu „może być świetnym narzędziem do przełamywania barier, które naturalnie wyrastają, gdy spotykają się ludzie z odmiennego kręgu kulturowego”.

Więc Barn+Field mógłby utwierdzić nas w przekonaniu, że oto zaczyna się tu Wielkie Księstwo Litewskie 2. Niestety, tak nie jest. Od lat jeździmy nad Zalew Repczyce koło Kleszczel, to nasz podlaski atol. Otulina Puszczy Białowieskiej, czysta woda, cisza. Byliśmy tam też kilka dni przed festiwalem. W nocy na wieżę widokową weszła grupa chłopaków, którzy przyjechali chwilę wcześniej w stuningowanym aucie.

Słyszeliśmy ich dokładnie – od pierwszych zdań rozpoznaliśmy – tutejsi. Weszli na wieżę widokową, dostrzegli lunetą przypominającą karabin z taczanki. I nagle krzyk, który przeszywa ciszę:

„Trrrrrrrr w Ukraińców!!!”

Zatem Barn+Field to jedna strona medalu. Druga to stadion – nie tylko betonowy, ale i symboliczny – który w nas rośnie. I w tej przestrzeni toczy się spór o to, czy w naszej części Europy będziemy spoglądać na siebie przez lunety, czy tańczyć wspólnie.





Fot. Andrzej Goworski

;

[Marta Panas-Goworska Andrzej Goworski](#)

Duet pisarski, akronim MAGowie. Ich inspiracją jest Wschód, który jak Średniowiecze Fernanda Braudela wciąż pisze. Publikują m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Polityce”, „Newsweeku”, współpracują z kwartalnikiem literacko-artystycznym „Akcent”. Autorzy książek m.in. „Naukowcy spod czerwonej gwiazdy”, „Grażdanin N.N}.” i „Inżynierowie Niepodległej”, a także „Naznaczeni przez rewolucję bolszewików” (pod red. Piotra Nehringa). Prywatnie małżeństwo i rodzice czwórki dzieci, mieszkają w Warszawie.